Tom III. 11. Maja 1871. Nr. 14.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Co Maciek z Niemcami dokazywał.

(Zabawne opowiadanie.)

Stary Andrzej Słupczak, gospodarz ze wsi Taranki w powiecie bolechowskim miał syna Maćka, walnego chłopaka. Za młodu to było bardzo ciekawe i pojętne dziecko, w szkółce Maciuś najprędzej od innych dzieci czytać się wyuczył a pisał najładniej od wszystkich. A przytem dobry i serdeczny to chłopak. To też, choć nieraz komu figla spłata, bo do tego on majster i zuch jedyny, i ojciec i sąsiedzi ojca kochają Maciusia. Figle jego nigdy nie były na złość a krzywdę czyją wyrachowane, jeno ot tak sobie zabawki, aby siebie i innych rozśmieszyć. Raz posłał go ojciec po sól do karczmy, Maciuś przychodzi, a że to był dzień gorący, to też żydzisko zasnął na dobre nad szynkfasem. Maciuś pocichutku ogląda się naokoło, i myśli jakiegoby tu figla spłatać. Porwał szczotkę, co we wapnie rozrobionem do bielenia leżała, namaczał dobrze we wapnie, i nuż żydowi czarną brodę na dobre bielić począł. Sprawił się cichutko że żyd się ani obudził, wymknął się z karczmy i poleciał zwołać ludzi, krzycząc że wielkie nieszczęście się stało. Lecą ludzie, wpadają do karczmy, żyd się budzi, a ludziska w śmiech. Żyd nie wie co się stało, czy to

z niego czy z czego się tak śmieje cała gromada. Przeciera zaspane oczy, patrzy, i aż zaląkł się, gdy zobaczył swą brodę bialusieńką. W końcu poznał, że to żart, zaklął coś po żydowsku, i sam się śmiać począł razem z innymi. Ojciec zaczął ostro strofować za ten figiel, ale sam żyd prosił za Maćkiem, i mówił:

— Ny, co to szkodzi, to jego taka natura. To moja wina, że ja zaspał przy otwartych drzwiach, ta mnie kto mógł ukraść razem z karczmą, a jabym o tem nie wiedział. A inny chłopiec byłby nabrał z tych jabłek co tu leżą, a to Maciuś ani co ruszył, tylko ot taki figlarz.

Maciuś pocałował ojca w rękę, i na tem się skończyło tą razą.

Takich figli płatał Maciek bez liku, ale nigdy ze szkodą bliźniego. To też ludzie się zawsze uśmiali i lubieli go bardzo. Podrastał Maciek, a że gospodarstwo ojca jego Andrzeja było szczupłem, postanowił przeto ojciec dać chłopca uczyć dalej do miasteczka. Wywiózł Maćka do miasteczka, w którem Maciek przez dwa lata pilnie się uczył. Na trzeci rok dostaje ojciec od Maćka list, ale już nie z miasteczka, tylko ze Lwowa. Zdziwił się nie mało. Czyta, aż oto Maciek przyznaje się w liście, że niechce ojcu dalej wydatków robić, myśli sam się w szkołach utrzymywać. Że mu to w miasteczku było trudnem, przeto poszedł sobie piechotą aż do Lwowa, i tu się dalej uczyć zamyśla. Jak na początek wcale mu się dobrze wiedzie. Dostał aż trzech uczniów młodszych do uczenia, za co 15 złr. pobiera. Najął sobie tanią stancyjkę razem z innymi studentami, gdzie także za tani grosz ma jakie takie pożywienie.

Uradował się ojciec tym listem niezmiernie. Przeczytał znajomym, a każdy tylko głową kiwa i powiada: Ot chwat z waszego Maciusia, da Bóg to na świecie nie zaginie i ludzie z niego będą. Poszedł do księdza proboszcza po radę, ale ksiądz proboszcz już wiedział o tem, i tylko życzył szczęścia ojcu. Przyobiecał ksiądz proboszcz, że jak na przyszły miesiąc będzie we Lwowie, to postara się między znajomymi, o opiekę nad Maciusiem, a oraz pomówi z panami profesorami, aby mu jak najwięcej młodszych uczniów dawali do uczenia.

Jak rzekł, tak zrobił ksiądz proboszcz. Przez kilka lat Maciuś doskonale się uczył we Lwowie, a dzięki dobrym ludziom i rekomendacyi księdza proboszcza nigdy mu nie zbywało na lekcjach. Choć czasem zaznał biedy, czasem niedojadł albo niedospał, zawsze był wesół i dobrej myśli, bo zawsze pocieszało go to, że nikomu nic nie winien, że własną pracą zarabia na grosz, a ten grosz na swoje utrzymanie i nauki obraca.

Co rok na wakacje, to jest w Lipcu i Sierpniu, kiedy szkoły zamknięte, aby studenci wypocząć mogli, i swoich rodziców odwiedzili, nasz Maciuś odwiedza swojego ojca. Ojczysko cieszy się nie mało. Bo nietylko że Maciuś mądrzejszy coraz bardziej, i wyuczony co się zowie, ale zawsze to ten sam poczciwy, niezepsuty, wesoły Maciuś. A dawne figle zawsze go się czepiają. Bywa kiedy przyjedzie do wioski na wakacje, to nie idzie wprost do ojca, tylko do którego z sąsiadów, tu pożycza płótniankę, ubiera się w nią, wkłada na głowę szeroki słomiany kapelusz, i wchodzi do chaty ojca.

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki — odpowiada ojciec i patrzy, kto to taki, a tu Maciuś w śmiech że go ojciec nie poznaje, i nuż staremu ręce i nogi całować pocznie. Stary Andrzej niby się gniewa za taki figiel, ale w piersiach serce mu skacze z radości, raz że syna widzi, to znów że ten choć w mieście uczony, nie pogardza swoimi i kocha ich całą duszą. I tak co roku radość ta trwa przez dwa miesiące, póki znowu do szkoły czas będzie jechać. Maciuś płata figle dziewczętom i parobkom, a starzy aż za boki się trzymają od śmiechu. Nikim nie pogardzi, każdego kocha, kto prawy a poczciwy. Ale niechno kto przykrość sprawi jemu samemu, albo też komu innemu, choćby też najlichszemu człowiekowi, o to może być pewnym, że Maciuś się zemści ale takim figlem, że aż cała wieś się uśmieje.

Już to co najlepszego figla to spłatał Niemcom kolonistom co to się we wsi Zagubie byli osiedlili. Wracał wtenczas Maciuś ze szkoły do ojca na wakacje. Dzień był piękny, Maciuś bardzo wesoły, bo do domu szedł ojca obaczyć po całym roku nauki, to też przyspiewywał sobie i wywijał laską na gościńcu.

Już to był jego zwyczaj piechotą chodzić, chociaż kilkanaście mil było ze Lwowa do Taranki. Czasem na furze gdzie przysiadł, gdy się trafiło, to znów piechotą maszerował. Otóż teraz szedł sobie piechotą. Ani się spostrzegł, że tu wieczór już; słonko zaszło, księżyc wyjrzał i świeci ładnie. Maciuś myśli, że tak po księżycu do domu zajdzie i szedł sobie spokojnie. Wtem chmury zaczęły się gromadzić, niebo się zaciemniło, zagrzmiało, i wnet spory deszcz się puścił. Oj, kiepsko, myśli Maciuś, trzaby gdzie przenocować, i czekać aż deszcz przestanie. Patrzy, a tu karczma porządnie murowana, zagląda przez okno i widzi dużo ludzi przy wieczerzy, a sami Niemcy koloniści. Nie namyśla się długo, otwiera drzwi i wchodzi do świetlicy. Niemczyska spojrzeli po nim, a gdy zobaczyli że to jakiś biedny student z węzełkiem na plecach, zaczęli się śmiać. Gospodarz także Niemiec, wyszedł i powiedział opryskliwie, że miejsca nie ma, bo tu sami swoi tylko przystęp mają, a po nocach nikogo się nie przyjmuje. Tak rzekł gospodarz, i trzasnął drzwiami przed nosem Maciusiowi.

— Oj, licho, pomyślał sobie Maciuś, ale czekajcie szelmy nauczę ja was. Udał że odchodzi już, obszedł karczmę naokoło, i zobaczył za karczmą wielką kałużę, napełnioną błotem. Zaśmiał się jakby sobie jakiego figla rozmyślił, potem przystanął, wyjął z węzełka chustkę, obwiązał sobie nią głowę całą, dalej wyjął okulary które kupił dla księdza proboszcza, założył na nos, i tak zmieniony zaczął pukać drzwi.

Gospodarz otworzył i pyta kto to?

— *Guten Abend!* — rzekł Maciuś po niemiecku, co znaczy „dobry wieczór.“

Niemcy nie poznali na razie że to ten sam, powstali i prosili go do izby, bo myśleli że to także Niemiec i ich wiary człowiek.

Maciuś ukłonił się wszystkim, zaczął szwargotać po niemiecku, jak się w szkołach wyuczył, potem siadł na boku przy osobnym stole.

Ha, myśli sobie, już mię teraz przenocować muszą, ale trzaby i zjeść co, niech mię te szelmy teraz poczęstują jaką strawą. Ale Niemcom to ani w głowie było. Zasiedli nazad,

i jedzą w najlepsze, a o przybyszu całkiem zapomnieli. Maciuś namyślił się chwilę, i wnet po niemiecku zawołał na gospodarza.

Gospodarz przyszedł, ukłonił się i zapytał czego żąda.

— Proszę tylko o zwierciadło, — rzekł Maciuś po niemiecku.

— Natychmiast – odrzekł gospodarz i wnet podał zwierciadło.

Maciuś ustawił sobie zwierciadło na stole, wyjął z węzełka brzytwę, mydło, słowem całą golarkę.

Rozrobił mydło, wyostrzył brzytwę, rozwiązał chustkę, zdjął okulary, a tu go wnet wszyscy poznali, że to ten sam, którego przedtem niechcieli puścić do karczmy. Maciuś udaje że nic nie widzi, spokojnie zaczyna sobie brodę golić.

Niemcy wypatrzyli się; w całej wsi nie było golarza. A tu przybysz doskonale po niemiecku gada, a goli się raźnie i zgrabnie aż miło.

— Możebyście mnie brodę ogolili — odezwał się jeden, a za nim drugi i trzeci.

— Najchętniej — odpowiada Maciuś wszystkich ogolę, ale mi zato zapłacicie wieczerzę.

Niemcy zgodzili się. Jeden po drugim siadał, a Maciuś raźnie machał brzytwą, i wnet kilku Niemców ogolił. Niemcy zadowoleni zaprosili go do swego stołu i raczyli wieczerzą. To ten, to ów piwa mu dolewa, a Maciuś kłapie po niemiecku i bawi ich gawędką wesołą, aż karczma się trzęsie od śmiechu.

— To pan jesteś cyrulik, pyta się jeden z Niemców?

— Nie, ja jestem człowiek co wszystko w świecie umie. Nie myślcie, że ja tylko brody golić potrafię. Ja umiem dużo rzeczy takich, o których wam się nawet nie śniło. Umiem choroby leczyć, duchy pokazywać, skarby zakopane odkrywać, ja jestem filozof. Tak prawił głupim Niemcom Maciuś.

A Niemcy gęby poroztwierali i patrzą na Maciusia. Jeden tylko gospodarz, niby niewierzy, i pyta:

— A czy pan potrafi pokazać ludzi co dawno już wyjechali, i niewiedzieć gdzie się obracają?

— Nic łatwiejszego nad to — odrzekł Maciuś – a kiedyście mnie przyjęli w taką słotę, to jestem gotów za darmo wam co pokazać.

— Prosimy pana bardzo, odrzekli Niemcy, a gospodarz szczególnie zaczął prosić i przepraszać, że go pierwej niechciał przyjąć do karczmy.

— Czekajno, pomyślał sobie Maciuś, już ja ci pokażę aż ci miło będzie.

— Kogożbyście chcieli obaczyć, zapytał dalej?

— Jabym chciał zobaczyć, — odrzekł gospodarz – tylko... żeby się kto nierozgadał przed moją żoną, chciałbym widzieć moją Kaśkę, co mi z huzarem uciekła, i pieniądze zabrała. Co też ta szelma robi, i gdzie ona jest.

— Bardzo dobrze — rzekł Maciuś — zaraz będę czarował. Tu · w tem zwierciadle nietylko pan ale wszyscy przytomni obaczą Kaśkę, panie gospodarzu.

Żona gospodarza posłyszała przez drzwi, i zaczęła zaglądać przez szparę.

Maciuś tymczasem tak prawi:

— Do tych czarów potrzeba mi talerza czystego i trochę wody na nim. Gdy mu talerz podali, Maciuś powiedział, że trzeba, aby na dany znak światło zgasili, aż do tej chwili, kiedy czary będą gotowe.

Stanął Maciuś z gospodarzem przed zwierciadłem, inni Niemcy w około nich poczęli się przypatrywać. Dał Maciuś gospodarzowi do lewej ręki talerz i kazał trzymać. Potem począł szeptać jakieś słowa łacińskie, a wszyscy myśleli że to czary. Nareszcie nakazał tak, że gdy go zacznie pytać o opis Kaśki, aby palec prawej ręki maczał w talerzu, a na sobie opisywał ją i żeby nikt słowa nie przemówił. W końcu kazał zgasić światło, a zapałki mieć w pogotowiu. Gdy światło gasili, Maciuś wydobył kałamarz z atramentem czarnym z węzełka, i zgrabnie wlał na talerz. Nikt tego nie uważa. Pyta się gospodarza:

— A miała Kaśka czoło?

Gospodarz podług nakazu, słowa nie mówi, tylko zamaczanym w talerzu palcem, smaruje po czole.

— A miała Kaśka nos? pyta dalej Maciuś.

Gospodarz znowu milczy, i tylko zasmarowanym palcem nos sobie oczernia atramentem.

— A czy miała policzki?

Gospodarz zasmarował sobie na te słowa obydwa policzki atramentem.

— A czy miała brodę?

Gospodarz smaruje brodę całą, dopiero co ogoloną.

— No, teraz dobrze — rzekł Maciuś, szczęśliwy, że mu się figiel udał. Tylko jedna rzecz jeszcze, jeżeli nie jesteście gospodarzu człowiekiem uczciwego sumienia, to zamiast Kaśki jaką poczwarę ujrzycie. Teraz proszę zapalić światło, a wy gospodarzu patrzcie w zwierciadło.

Zapalili świece, przystępują, patrzą i głośnym śmiechem wybuchają. Zamiast spodziewanej Kaśki widzą w zwierciadle twarz gospodarza, obmazaną najokropniej atramentem. Smieją się wszyscy strasznie; żona gospodarza przybiega i nuż go łajać pocznie:

— A ty nicponiu! toś ty chciał Kaśkę widzieć, a żona własna ci niczem, a dobrze ci tak, jutro cię cała wieś obśmieje.

Gospodarz zły jak djabel, rzuca się na Maciusia, i wykrzykuje po niemiecku:

— A czekaj ptaszku! to ty z porządnych karczmarzów będziesz sobie śmiechy wyprawiał? To ty durzysz ludzi i każesz im się atramentem obsmarowywać na pośmiewisko ludzkie! czekajno, dam ja ci!

Przyskoczył do Maciusia, i byłoby przyszło do bitki, ale Maciuś przygotowany był na to, cofnał się za stół i spokojnie odrzekł:

— Cóż ja wam winien! wszak mówiłem, że tylko dla tego człowieka czary mają znaczenie, kto ma czyste sumienie. Czy ja tam mógł wiedzieć, że wy już żonę macie, a o jakiejś Kaśce się dopytujecie.

Wszyscy zaczęli się na nowo śmiać z gospodarza, a ten zły poszedł do drugiej izby i zatrzasnął drzwi za sobą.

(D. n.)

Papuga.

Z kolei opiszemy wam znowu ptaka zagranicznego, który zarówno jak znany wam już struś i ptak rajski, tylko w ciepłych krajach przemieszkuje. Jak na nagłówku wyczytaliście, chcemy mówić o papudze.

Ma papuga dziób krótki a gruby, wierzchnia część dzióba jest znacznie większą od dolnej, tak że ją całkiem w sobie zakrywa i nadto jeszcze ten dziób z góry nadół jest zakrzywiony, jak to na obrazku widzicie. Głowę ma papuga szeroką i u góry spłaszczoną, a oczka bardzo zmyślne. Nogi u papug są grube, mięsiste i do wspinania się po drzewach bardzo przydatne. Różnej wielkości bywają papugi, niektóre tylko wielkości naszego gołębia, inne znacznie większe, bo prawie krukowi dorównają. Kolor ich piór jest nadzwyczaj rozmaity, a często z najświetniejszych barw złożony: zielone, złocisto-błyszczące, czerwone, czarne, siwe, żółte, białe i Bóg wie jakie tam jeszcze na nich piórka bywają. Bardzo sprytnie a poważnie łazi, i wiesza się papuga po gałęziach drzew, a żywi się ziarnami, owocami i różnemi innemi rzeczami, przyczem często łapy swej jakby człowiek ręki używa. Krzyczy papuga mocno i przeraźliwie, ma atoli wielką łatwość wymawiania ludzkich wyrazów, tak że oswojoną papugę nie trudno to i owo gadać nauczyć, podobnie jak naszego szpaka albo też srokę. Dlatego to mówią o człowieku co plecie nie w pięć ni w dziesięć koszałki opałki, alboteż cudze słowa powtarza, że g a d a j a k p a p u g a.

Papuga łatwo się daje oswoić, i w klatkach, albo też na łańcuszku uwiązana chować. Przywożą nawet papugi do nas, i zamożni ludzie sobie albo dzieciom na rozrywkę papugi chowają. Zabawny to ptak, jak zacznie przedrzeźniać i wymawiać różne słowa, których ją wyuczono. Raz przyszedłem do jednego staruszka księdza, który sobie dla rozrywki papugę trzymał. Przychodzę do pokoju i niezastaję żywej duszy. Wtem za mojemi plecami odzywa się coś i zaczyna wołać: „Dzień dobry!“ Oglądam się zdziwiony, a to papuga siedzi na drążku i wykrzykuje. Uśmiałem się razem ze starowiną księdzem, którego bardzo cieszyło moje zadziwienie. Opowiadał mi, jak mu raz

ta papuga dobrą oddała przysługę. Położył się raz ksiądz wcześnie spać, a służący wyszedł na miasto i zapomniał drzwi



Papuga.

zamknąć. Złodziej wkradł się po cichu do pokoju, i już się dobierał do skrzyni, wtem papuga usłyszała i poczęła krzyczeć. Ksiądz się przebudził, a złodziej uciekł.

Najpiękniejsze i najdrozsze papugi miał u nas pan Konstanty Pietruski w Podhorodcach w powiecie skolskim. Pan ten miał u siebie ogromny zbiór bo aż 500 różnych krajowych i zagranicznych żywych zwierząt i ptaków. Miał oswojone niedzwiedzie, węże różne, gołębie, ze 200 ptaków spiewających swojskich i zagranicznych, a przytem bardzo pojętne siwe papugi afrykańskie, mówiące różne słowa, oraz gadających kruków i sojki. Szczególnie miał jednego kruka 24-letniego, który cuda

dokazywał i który dotąd jeszcze na wsi żyje. Ciekawe to stworzenie ten kruk, to też na zakończenie o nim opowiemy. Woła swego pana po imieniu, innym ptakom w klatkach rozkazuje jeść, a sobie kawy dawać, całkiem powtarza, co słyszał, że pan jego mówi. Wszystkich chłopców, którzy mu przez różne lata jeść dawali, zna i woła po imieniu.

A szczególniejszym przypadkiem, bo jużcisz naturalnie jako zwierzę, nie rozumie kruk tego, co gada, ale ponieważ pan Pietruski, gdy się z nim droczył, uczył go wymawiać: o „jaki ty nudziarz!“ więc kruk umie te słowa tak zastósować, że tylko wtenczas, gdy jest zły, wszystkich niemi traktuje. Oprócz tego plecie jeszcze wiele innych rzeczy po polsku i po rusku, przytem kaszle wybornie jak gdyby miał suchoty A gdy gada nadyma się mocno i słowa tak wyraźnie i głośno z siebie wypuszcza, że bardzo daleko go słychać. Tak rzadkiego stworzenia trza było strzedz, aby je kto nie ukradł. Zamknięto więc naszego kruka do wielkiej klatki. Tu biedaczysko począł się strasznie nudzić, i z tych nudów wpadł na myśl robienia sobie różnych rozrywek. Najprzód czepił się indyków wolno chodzących. Brał resztki jedzenia i podawał przez druty klatki indykom, a który się tylko złakomił, ten pewnie kawał dzioba utracił. Na tem się przecież nie skończyło, bo nudy rodzą złe myśli. Raz podczas zawalnej zimy zachciało się krukowi łapać wolno latające sroki. Wtym celu chował najlepsze kawałki mięsa, i podawał je z największą uprzejmością zmarzniętym i zgłodniałym srokom. Był jednak tak grzecznym, że zawsze pierwszy raz dał się pożywić sroce, a dopiero z drugą razą ją chwytał i tak długo przez szczeble klatki trzymał, dopóki ktoś nie przybył i nie odebrał zdobyczy, którą mu zawsze potem żywą na zabawę dawano. Na ostatku tak się był wprawił do tego polowania, że sobie co roku ułowił w zimie tym sposobem 3 do 4 sztuk, a ponieważ przez jedenaście lat to robił, więc do 40 srok na tamten świat wyprawił. Taki to bywa dowcip i przemysł zwierząt.

Zastaw.

Jeszcze go na przednówku nie dojadła bieda,
Lecz siadł Marcin na progu przed chatą i duma
„Chciałby się człek sam napić, poczęstować kuma,
Nie ma za co!... ha! kożuch zastawię u żyda!
Dziś już świętego Wojciecha,
I słonko dobrze grzeje i w polu pociecha!“
Wdział sukman i z kożuchem
Do pachciarza rusza duchem.
„Jankiel, zmiłujcie no się, pożyczcie talara
— Talara — rzecze Jankiel — kożuszyna stara,
Lecz wiem że u was nie zginie,
Więc dam talara Marcinie,
Ino mi z pierwszych snopków nowotnego żyta
Dwa talary oddacie z procentem — i kwita.
Stanęła zgoda, talar u Marcina,
A kożuch został u żyda;
Marcin już myśli sobie jak talara wyda,
A Jankiel tak znów zaczyna,
Wiecie Marcinie, rozłóżmy na raty,
Dla tem łatwiejszej wypłaty,
Oto zaraz talara dajcie na rachunek,
A potem kiedy, niedługo,
Zapłacicie ratę drugą,
I cały sobie z głowy spędzicie frasunek...
Oddał Marcin talara, powraca i duma,
Miałem się i sam napić i zaprosić kuma,
I znowu nie mam za co, a tem większa bieda,
Żem i winien talara i kożuch u żyda!
Oto na równej drodze dałem mu się złupić!
Ale... Jankiel ma rację... lżej będzie wykupić.
O! bodajby mógł każdy tę myśl w siebie wszczepić,
Że lepiej dać się okpić, niż grosz ciężki przepić.

Wołody Skiba.

Rozmaitości.

Niedobre dzieci. Mieszczanin pewien, kuśnierz z profesyi, miał sześcioro dzieci: trzech synów i trzy córki. Pracowity i oszczędny zebrał sobie przy boskiej pomocy ładny mająteczek i ten między dzieci po

śmierci żony rozdzielił, tak że każde dostało grosza sporo. Najstarszy syn kuśnierstwo po ojcu objął i u niego stary mieszkał. Jednakże znać sprzykrzył się ojciec synowi, bo razu jednego tak mu powiedział: Ojcze kochany! toć wiecie, że mi Pan Bóg dał syna i że teraz ciasno tu u mnie będzie, a wam też kolebka ciągleby w uszach dudniła. Więc lepiejby wam było u brata mego Józefa. On dzieci nie ma, a mieszkanie ma obszerne toby wam tam było najwygodniej. „Prawdę mówisz, moje dziecko,“ powiedział stary, wnuka ucałował w kolebce, przeżegnał na błogosławieństwo i wyprowadził się do syna Józefa. Ten był kowalem. Choć było mieszkanie bardzo obszerne i dla starego miejsca dosyć, to i Józef znowu znalazł przyczynę i powiedział do starego tak: Ojcze kochany, ciągle was głowa boli, boście wy tego kucia i hałasu kowalskiego nie zwyczajni. Tu u mnie nie może być inaczej, boć kuźnia jeno przez sień. Najlepiej by wam było u brata mego Michała. On piekarz, to i ciepło u niego zawsze, i hałasu nie ma i wygody więcej dać wam może. „Prawdę mówisz, moje dziecko,“ powiedział stary i do syna piekarza się przeprowadził. Było to tam, yło czas jakiś, ale nie zadługo to i piekarz znalazł dla starego przyczynę i tak mu perswadował: Ojcze kochany, niewiem jakby wam już najlepiej zrobić, ale tu u mnie to nocy spokojnej mieć nie będziecie i nie możecie. Tu u mnie w nocy największa robota, latanie, trzaskanie i hałasy, z rana lud się roi, jak pszczoły, cały dzień jeden wchodzi, drugi wychodzi, że to jakby w gołębniku jakim. A gdzież wy przy takich przeszkodach możecie się wywczasować, jakby wam tego na starość potrzeba! Najlepiejby wam było u mojej siostry Nepomuceny. Stary pomiarkował, sierota, że i tu się już własnemu dziecku sprzykrzył i jakoś mu się przypominać poczynała owa gadka o sikorce, ale sobie pomyślał, że u córki będzie inaczej, boć to kobiety i serce niby mają lepsze i jakoś składniejsze są do pielęgnowania. Wyprowadził się więc do córki Nepomuceny, a była ona za kołodziejem. Byli mu tam radzi, jak wszędzie z początku, szkoda tylko, że nie na długo. Córka bowiem tak do niego po niejakim czasie powiedziała: Ojcze kochany! ja jeszcze kiedy śmierć będę miała ze strachu! U nas na dole warsztat, a mieszkamy u góry, więc wy też na stare lata po wschodach musicie się drapać, a to jnż nie na wasze siły. Nogi wam się trzęsą, a ja drzę cała, ile razy was widzę zchodzącego lub wchodzącego na te przeklęte wschody. Toć wam najlepiej będzie u siostry mojej Barbary. Mieszka ona na wsi, ma izb kilka, ogród przy domu, będziecie się mieli czem rozerwać. Staremu przeszło jak nóż przez serce, ale powiedziawszy po swojemu: „Prawdę mówisz, moje dziecko,“ wyprowadził się do córki Barbary na wieś. Tam mu też było istotnie bardzo dobrze, tylko szkoda że nie na długo. Barbara bowiem, kiedy zima nadeszła, a stary kaszleć począł, z taką się odezwała radą:

Ojcze kochany, wam potrzeba być blisko doktora i apteki. Ciągle kwękacie, a tu na wsi rada trudna i mogłoby, czego Boże broń, siedm razy być nieszczęście, niżby doktór i leki z miasta przyszły. Wy też radzibyście co dzień byli w kościele a gdzież to tu ze wsi o granicę wam podobna. Więc tak sobie myślę, że najlepiej, abyście byli u mojej siostry Łucysi, boć i w mieście i przy samym kościele mieszka. Stary kochał bardzo Łucysię jako najmłodszą, więc mu się nawet i zdawało, że tam będzie najlepiej i że znajdzie u niej mieszkanie wygodne na zawsze. Powiedziawszy swoje: „Prawdę mówisz, moje dziecko,“ przeprowadził się do Łucysi, która była za stolarzem. Kiedy tam już czas niejakiś pobył i tak jakoś coraz bardziej ku kupeczce i kącikowi rzeczy jego posuwano, aż mu i ciasno zdawać się poczęło, powiedział razu jednego synek Łucysi do niego tak: Dziadku! wczoraj mama mówiła do ciotki Nepomuceny, że wam najlepiejby było w takiem mieszkaniu, jakie tatko mój robi, jak oto tam przed domem! i pokazał na stojącą przed domem — t r u m n ę! Tego już staruszek znieść nie mógł, gorzko i gwałtownie sobie zapłakał, aż mu serce pękało z boleści na własne dzieci. Czwartego dnia leżał już w owem najlepszem dla niego pomieszkaniu, które mu zięć stolarz zrobił i dopiero z tego już go nie wypędzano.

Nędza w Paryżu. Jak wielką była nędza w Paryżu podczas oblężenia, możemy sobie wyobrazić z tego co jeden z naszych rodaków tam żyjący wycierpiał. Rodakiem tym jest sławny pisarz polski pan Seweryn Goszczyński, obecnie już człowiek podeszły i chory. Przez cały czas mięsa niejadł, bo go nie mógł dostać, żywił się chlebem samym tylko, lecz i tego w końcu zabrakło. Aby trochę wody sobie ugotować, musiał pod garnuszkiem palić książkami, bo drzewa nie było. Całą biblioteczkę swoją spalił w ten sposób, wreszcie sam biedny starzec opuchł i ciężko zachorował.

Zagadka. Przy jednym stoliku siedziało raz towarzystwo z więcej osób. Był tam 1 dziadek, 2 ojców, 2 matek, 4 dzieci, 3 wnuków, 1 brat, 2 siostr, 2 synów, 2 córek, 2 żonatych mężczyzn, 2 zamężnych kobiet, 1 teść, 1 świekra i 1 synowa. Nadeszła kobieta z owocami; każda z tych osób wzięła sobie po jednemu jabłku, a gdy przyszło płacić, okazało się, że tylko za siedm jabłek mają zapłacić. Jak że być mogło?

[Rozwiązanie tej zagadki podamy w przyszłym numerze.]

Dobra rada.

Jechała pani w złocistej karecie,
Gdy wtem przechodząc wieśniaczka
Westchnie i rzecze: jej dobrze na świecie,
A ja wzgardzona — biedaczka!

O jakże niesłusznem było jej zdanie,
I w niem: uczucie zazdrości;
Wszak nieraz takie w atłas strojne panie
Los mają godny litości.
Ta co jechała w złotej karecie
Z pysznym zaprzęgiem u przodu,
Smutne i gorzkie łzy łeje skrycie,
Choć nigdy nie dozna głodu,
Biedna, jej bardzo nie dobrze na świecie,
Bo to matka nieszczęśliwa,
Która jedyne pogrzebała dziecię —
I dziś łzy gorzkie wylewa.
Więc nie zazdroście dostatków nikomu,
Bo wszędzie tutaj jest bieda:
Tak w cichej chatce jak i w pańskim domu;
I to się zmienić już nie da.
Zupełnie Bożej poddajcie się woli;
Każdy z was wiele Mu winien,
Czyli to w dobrej, czyli też złej doli —
Nie szczędźcie Jemu dziękczynień.

Złote ziarna.

Miło nam zasłużoną odebrać nagrodę,
Miło nam raz straconą odzyskać znów szkodę,
Miło, gdy rój pochlebców słodkie sypie słówka,
Miło nam, gdy w kieszeni brzęcząca gotówka,
Ale stokrotnie milej, kiedy łzę rozpaczy,
Pomoc, przysługa bratnia, w szczęście przeinaczy.
Szczęśliwym jest ten:
Kto w nieszczęściu wytrwać potrafi.

Dodatek polityczny.

Austrya. Ministeryum, które obecnie mamy, dotrzymało jedynie po części tego, co przyrzekło, mimo to, że i pan Grocholski został ministrem. Powiedziało ono bowiem na wstępie,

iż chce pogodzić ludy, które do Austryi należą, a pogodzić w ten sposób, iż da tym ludom to, czego pragną i co im się prawnie należy. Niemcy, którzy w Radzie państwa, w której dają prawa, rej wodzą, narobili hałasu i wrzawy, jak gdyby im kto chciał chleb i życie odbierać. Boć się też przyzwyczaili do panowania, ćwiczyli nasze dzieci w szkołach po niemiecku, uczyli ich nawet „Ojcze nasz" po niemiecku, szwargotali sobie w urzędach po swojemu i trudnoby im było wypuścić to rządzenie z rąk swoich. Wszak im to już solą w oku było, że u nas teraz w naszym języku w urzędach pisują i dzieci się nasze po polsku uczą. Nuż więc kląć i wyrzekać na ministeryum. A dalibóg, nie było czego tyle harmideru robić! Ministeryum myślało sobie, że da ludom kruszki a ludy będą myśleli że to bochenki chleba. I tak, cóż było łatwiejszego, jak dać nam to, czego się Sejm nasz tylekrotnie domagał, tj. zupełnego samorządu i cesarskiego rządu czyli tam jakiegoś rodzaju Namiestnictwa, któreby było Sejmowi odpowiedzialne? Ale cóż — „trzeba się potargować" pomyślało sobie to ministeryum i podało wniosek do Rady państwa, aby Rada ta uchwaliła dla naszego królestwa niby to, czego Sejm żądał, ale poobcinało sobie tak nasze żądania, iż wniosek Sejmowy wygląda niby kot z uciętym ogonem i uciętemi uszyma. Rok rocznie zatem musimy nabierać smutnych doświadczeń i zawodów, a nasz kraj ubożeje, chociaż mu dają jakieś tam koleje i banki, na czem żydzi najlepiej wychodzą.

W tych dniach wybrano z Rady państwa posłów do delegacyi, które obradują nad rzeczami, które do całej monarchii należą tj. i do Węgier. Z naszych wybrano: pp. Zyblikiewicza, Czerkawskiego, Wodzickiego, Horodyskiego, Czajkowskiego, Smolkę i Klaczkę.

Francya. Jakoś już tak na świecie się dzieje, że nieszczęście nie spada na ludzi samo, ale sobie przybiera jeszcze towarzyszy, które także tylko nieszczęściem być mogą. Główniem takiem nieszczęściem, jakie na Francję spadło, był, jak Wam to już tylekrotnie donosiliśmy, najazd Prusaków, które w dzikości ani Moskalowi ani poganinowi tureckiemu nie ustępowały. Złupili też, nagrabili się dowoli i obdarli tę nieszczę-

śliwą krainę i powrócili sobie do domu, aby wypocząć po wojennym trudzie pod niemiecką pierzyną. Francuzom jednak, jak Wam już w ostatnich kilku numerach napisaliśmy, nie wystarczały plagi z ręki Prusaka, nie zadowolnili się oni, że ich cudzoziemiec nabił i bezcześcił, że im odebrał, co ludziom najdroższego, tj. dobrą sławę, i zaczęli bójkę między sobą. O cóż im też chodziło, pytamy, czegoż znów własną ziemię krwią bratnią poją? Odpowiedź na to łatwa, choć bardzo boleśna. Zgromadzenie narodowe i rząd pana Thiersa chce dla siebie władzy, a kilka zawieruszonych ludzi w Paryżu dla siebie. A nikogo nie ma, ktoby mógł ten spór rozstrzedz. Panu Bismarkowi bardzo przyjemnie, że Francuzi sobie włosy obopólnie wydzierają, a tak, jak pan Bismark każe, tańczą inni. Dlatego Francuzi chwycili za karabiny i działa i nuż plwać znich ołowiem na braci. Bóg jednak wszechmocny dopuszcza kary, ale nie chce by człowiek pod tą karą upadał, lecz owszem, aby się poprawił i podniósł. Za Jego też wolą niebawem te domowe zatargi ustaną i Paryż będzie się musiał wreszcie poddać wojskom Zgromadzenia narodowego i rządu, który przecież z woli narodu został ustanowiony. Krwi nasączyło się niemało, lecz jak spodziewać się można, na ziemi, która się tyle krwi napiła, urośnie wolność i miłość do tego pięknego a nieszczęśliwego kraju.

Tymi dniami załatwiono ostacznie sprawę zawarcia pokoju. Oto w mieście leżącem na granicy Francyi i Niemiec t j. w Frankfurcie, zjechał się pan Bismark z panem Favrem, francuzkim ministrem i zgodzili się wreszcie na warunki pokoju, które już dawniej ułożone zostały, a król pruski, czyli teraźniejszy cesarz niemiecki upuścił z tej ogromnej sumy, jaką Francuzi Niemcom zapłacić mieli pięćset milionów franków, tj. dwieście pięćdziesiąt miljonów reńskich według naszej rachuby.

Taką to sumę zapłacono już jako ratę niemieckiemu lichwiarzowi.

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.

Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.